

Germanizacja polskich dzieci

- ✓ Obrazy wojny: „Tysiąc razy zadawałam sobie pytanie kim jestem: Polką czy Niemką? <https://muzeum1939.pl/obrazy-wojny-tysiac-razy-zadawalam-sobie-pytanie-kim-jestem-polka-czy-niemka-germanizacja-polskich/audio/874.html>
[dostęp: 12.09.2023]
- ✓ Rabunek i germanizacja polskich dzieci <https://muzeum1939.pl/dzieciwojny-rabunek-i-germanizacja-polskich-dzieci/aktualnosci/4988.html> [dostęp: 12.09.2023]
- ✓ Niemcy podczas II wojny światowej, realizując założenia Generalnego Planu Wschodniego, prowadzili działania, których celem był rabunek i germanizowanie dzieci,
- ✓ historycy nie mogą ustalić liczby dzieci poddanych germanizacji, ponieważ większość dokumentów dotyczących tego proceduru została zniszczona przez Niemców przed wkroczeniem Armii Czerwonej na ziemie polskie,
- ✓ szacujemy, że procesowi germanizacji poddano ok. 200 tys. polskich dzieci z Kraju Warty i Generalnego Gubernatorstwa; po wojnie do Polski powróciło ok. 30 tys. polskich dzieci poddanych germanizacji,
- ✓ polityka rabunku i germanizacji dzieci była realizowana w czasie II wojny światowej i dotyczyła wszystkich ziem okupowanych przez Niemców (m.in. polskich, czeskich, sowieckich, jugosłowiańskich),
- ✓ rabunek i germanizacja były realizowane w sposób planowy i zinstytucjonalizowany, czyli stworzono instytucje państwowe realizujące zadania związane z kolejnymi etapami polityki zniemczania polskich dzieci i uczynienia z nich pełnowartościowych obywateli Rzeszy,
- ✓ do germanizacji wybierano najczęściej sieroty lub dzieci rodziców przebywających w więzieniach lub obozach koncentracyjnych,
- ✓ dzieci trafiały do specjalnych ośrodków (usytuowanych w budynkach klasztornych lub uzdrowiskach, np. w Ludwikowie, Łodzi, Pokrzywnie, Poznaniu, Puszczykowie), jednym z takich miejsc był także okręgowy „dom dziecka” zwany po niemiecku Gaukinderheim w Kaliszu:
 - został zorganizowany w listopadzie 1942 r., w budynkach klasztoru sióstr nazaretanek,
 - pełnił funkcję miejsca tymczasowego, rozdzielczego dla polskich dzieci w wieku od 2 do 16 lat wybranych pod kątem przydatności rasowej;
 - jednorazowo w kaliskim ośrodku przebywało ok. 60 dzieci, które po badaniach medycznych i psychologicznych i wstępnemu zniemczeniu, po kilkutygodniowym pobycie miały trafiać do innych zakładów germanizacji, a następnie do niemieckich rodzin adopcyjnych oraz instytucji, tj. Hitlerjugend (chłopcy) lub Bund Deutscher Mädel (dziewczęta) w Niemczech,
 - dane dzieci były modyfikowane, zmieniano im imiona i nazwiska, zacierano ich pochodzenie, aby rodziny nie mogły ich odnaleźć; w kaliskim Gaukinderheim powstało specjalne policyjne biuro meldunkowe, które nie wydało zaświadczeń o pobycie dziecka w Kaliszu; dzieci z ośrodka nie są uwzględnione w oficjalnych rejestrach,
 - w czasie pobytu w Gaukinderheim wszelkie przejawy polskości (np. mówienie po polsku) było bardzo surowo karane,

- Maria Pinczewska – Polka pracująca w kaliskim ośrodku, spisywał nowe dane osobowe dzieci i nazwy miejscowości, do których dzieci były wysyłane, pośredniczyła także w korespondencji pomiędzy dziećmi a rodzinami,
 - liczba dzieci wywiezionych z kaliskiego ośrodka do Niemiec nie jest znana,
 - przykładowe powojenne zeznania dzieci - 7-letni Kacper Poldek zeznawał w 1946 r.: *„Miałem mamusię i tatusia, siostrę i brata. Zabrali mnie Niemcy ze szkoły... Z mojej klasy zabrali ze mną dwóch chłopców, wzięli też moją siostrę. Wprost ze szkoły zawieźli nas na stację.”*; Mietek Domański, lat 11: *„Gdy z domu zabrali mnie Niemcy, miałem wtedy 6 lat. Moja mamusia nie chciała się zgodzić, aby mnie zabrali, ale oni mówili, że zabiją mamusię.”*; Władek Ostrowski, lat 9: *„Mnie zabrali jacyś ss-mani wprost z pola, jak pasłem bydło. Zawieziono mnie do Kalisza. Tam bili mnie, jak mówiłem po polsku.”*
 - ✓ germanizacja była przeprowadzana głównie przez Lebensborn:
 - stowarzyszenie „Lebensborn e.V.” (niem. Lebensborn eingetragener Verein, Lebensborn – „źródło życia”) oficjalnie było niemiecką organizacją opiekuńczo-charytatywną,
 - Lebensborn podlegał Głównemu Urzędowi do Spraw Rasowych i Osiedleńczych SS i posiadał placówki (np. kliniki położnicze, żłobki) na terenie Rzeszy oraz na ziemiach okupowanych przez Niemców w czasie II wojny światowej,
 - po agresji III Rzeszy na ZSRS w 1941 r. i dużych stratach niemieckich na froncie wschodnim Lebensborn rozpoczęła zmasowaną grabież polskich dzieci i ich germanizację po wcześniejszej selekcji rasowej, medycznej i psychologicznej,
 - na ziemiach polskich funkcjonowało od 1940 r. kilka placówek Lebensbornu, m.in. w Połczynie Zdroju (Bad Polzin) na Pomorzu Zachodnim w ośrodku sanatoryjnym Luisenbad, dziś ośrodek Borkowo oraz w Helenówku pod Łodzią (utworzony w 1941 r. w przedwojennym budynku Żydowskiego Domu Sierot),
 - w ośrodku Bad Polzin (w Połczynie Zdroju) przebywały córki doktora Franciszka Witaszka – Alodia i Daria; dziewczynki trafiły do Łodzi na Przemysławą, do Kalisza, a stamtąd prawdopodobnie w połowie stycznia 1944 r. do Połczyna-Zdroju; Alodii i Darii zmieniono imiona i nazwiska na Alice Wittke i Dora Wittke; kiedy powróciły w 1947 r. do swojej prawdziwej matki – nie pamiętały już języka polskiego,
 - ✓ po zakończeniu II wojny światowej polskie władze podjęły starania o rewindykację (odzyskanie) zgermanizowanych dzieci polskich z obszaru Niemiec, ale pod koniec lat 40. XX w. nie sprzyjała temu sytuacja międzynarodowa i początek „zimnej wojny”,
 - ✓ bardzo ważną osobą w procesie rewindykacji polskich dzieci był Roman Hrabar - polski prawnik, Pełnomocnik Rządu Polskiego ds. Rewindykacji Dzieci Polskich, członek Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, autor wielu publikacji nt. germanizacji,
 - ✓ najczęściej niemieckie rodziny walczyły o zatrzymanie dzieci, duży odsetek zgermanizowanych Polaków zatracił znajomość języka polskiego, rodziny adopcyjne były traktowane, jak własne, nawiązane były relacje rodzinne, których zerwanie było trudne dla wszystkich (niemieckich rodziców, polskich rodzin, samych dzieci), przykładowa relacja niemieckich rodziców adopcyjnych, którzy nie znali prawdziwego pochodzenia dziecka: *„Oficjalnie potwierdzono, że wyżej wymienione dziecko jest sierotą, którego rodzice zginęli podczas wojny śmiercią tragiczną. [...] Mój mąż pozostał w domu i pracował w polu, kiedy ja pojechałam odebrać dziecko z sierocińca blisko Lipska i wybrałam naszego „Hermchen”, ponieważ urok jego twarzy zdobył moje serce od pierwszego wejrzenia. Przez około siedem lat staliśmy się sobie tak bliscy jak tylko matka i ojciec mogą być blisko ze swoim własnym dzieckiem.”*
- Ewangelische Gemeinde St. Pauli, Rückführung eines Weisenkindes Hermann Ludeking nach Polen, 6.IV.1949*

- ✓ szacujemy, że do Polski powróciło ok. 33 tys. małych Polaków, czyli 15-20% z 200 tys. germanizowanych w czasie drugiej wojny światowej; 170 tys. pozostało poza Polską;
- ✓ dziś najmłodszy spośród dzieci zgermanizowanych mają ok. 80 lat; szacuje się, iż ok. 2-3 miliony ludzi na świecie to potomkowie ukradzionych z Polski dzieci,
- ✓ jednym z najbardziej znanych przypadków rabunku i germanizacji polskich dzieci jest historia Alojzego Twardeckiego

Biogram Alojzego Twardeckiego ur. 23/03/1938

Dr Alojzy Twardecki urodził się 23 marca 1938 roku w Rogoźnie w województwie wielkopolskim. Pochodzi ze szlacheckiej rodziny z tradycjami. Jego ojciec, Leon Twardecki, był oficerem ułanów i brał udział w kampanii wrześniowej; wtedy też zaginął. 27 września 1943 roku bohater nagrania został odebrany rodzicom przez Niemców i poddany germanizacji. Zabrano również jego kuzyna. Po badaniach w Poznaniu chłopcy trafili do obozu w Łodzi, a następnie do ośrodka Lebensborn w Kaliszu. Tu zmieniono dane personalne Alojzego Twardeckiego, odtąd nazywał się Alfred Hartmann. Z Kalisza trafił do Bad Polzin (obecnie Połczyn-Zdrój), a stamtąd do niemieckiej rodziny Binderbergerów w Koblencji. Na skutek działań germanizacyjnych zaczął się w pełni identyfikować z przybraną rodziną i narodem niemieckim. W końcowym okresie wojny brał nawet udział w obronie Koblencji przed wojskami amerykańskimi i otrzymał odznaczenie wojskowe – Żelazny Krzyż. Po wojnie jego matka, Małgorzata Ratajczak (wysłała ponownie za mąż w 1948 roku), prowadziła poszukiwania. Dzięki pomocy polskiego, szwajcarskiego oraz międzynarodowego Czerwonego Krzyża udało się jej odnaleźć syna. Po wielu problemach i z bardzo negatywnym nastawieniem Alojzy Twardecki powrócił do Polski. Od początku musiał uczyć się zarówno języka polskiego, jak i miłości do matki. Miał problemy z asymilacją i często spotykał się z wrogością osób widzących w nim Niemca. Ukończył studia na Wydziale Handlu Zagranicznego Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, a następnie studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego i na Wydziale Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu uzyskał tytuł doktora. Jego historia była tematem kilku filmów dokumentalnych, a on sam był autorem książki „Szkoła janczarów” (Warszawa 1969, wydanie I), w której spisał swoje wspomnienia z dzieciństwa. Pracował jako tłumacz literatury polskiej na język niemiecki, był dziennikarzem i wykładowcą literatury niemieckojęzycznej na wyższych uczelniach w Warszawie. Przez całe swoje dorosłe życie zaangażowany w budowanie porozumienia między Polakami a Niemcami. Zmarł 27 września 2016 roku.

(<https://historiamowiona.muzeum1939.pl/swiadcowie-historii/swiadek/alojzy-twardecki>)

Męczeństwo rodziny Ulmów

✓ Rodzina Ulmów <https://rodzinaulmow.ipn.gov.pl/> [dostęp: 12.09.2023]

Rodzina Ulmów

Józef Ulma (2 marca 1900 – 24 marca 1944)

Był synem Marcina i Franciszki z domu Kluz. Jego rodzice mieli trzyhektarowe gospodarstwo, w którym pomagał od najmłodszych lat. Skończył czteroklasową szkołę powszechną, a w 1921 roku został powołany do odbycia służby wojskowej. W 1929 roku rozpoczął naukę w szkole rolniczej w Pilźnie, którą ukończył z bardzo dobrym wynikiem.

Założył pierwszą szkółkę drzew owocowych w Markowej i szybko zaczął utrzymywać się ze sprzedaży sadzonek. Prawdopodobnie to dzięki niemu pojawiły się szczepione jabłonie w tej okolicy. Prócz ogrodnictwa – Józef Ulma był propagatorem uprawy warzyw i owoców – zajmował się także pszczelarstwem i hodowlą jedwabników. Jego pomysłowość i zaangażowanie w tym zakresie zostały nagrodzone podczas Powiatowej Wystawy Rolniczej w Przeworsku, którą w 1933 roku zorganizowało Okręgowe Towarzystwo Rolnicze.

Był człowiekiem szerokich horyzontów: do dziś zachowała się część jego księgozbioru, opatrzona ekslibrisem „Biblioteka domowa – Józef Ulma”. Wśród książek można znaleźć m.in. „Podręcznik elektrotechniczny”, „Podręcznik fotografii”, „Wykorzystanie wiatru w gospodarce”, czy publikację poświęconą mieszkańcom Australii. Prenumerował „Wiedzę i Życie”, potrafił skonstruować maszynę intrologatorską i przydomową elektrownię wiatrową, dzięki czemu jako pierwszy we wsi oświetlał dom prądem, a nie lampą naftową.

Największą pasją Józefa była fotografia. Początkowo korzystał z samodzielnie złożonego aparatu, z czasem zaczął używać profesjonalnego sprzętu, dzięki któremu dokumentował życie codzienne mieszkańców Markowej.

Był zapalonym społecznikiem. Działał w katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej, a następnie w Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”, gdzie pełnił funkcję bibliotekarza i Przewodniczącego Komisji Wychowania Rolniczego przy Zarządzie Powiatowym. Przez pewien czas był również kierownikiem Spółdzielni Mleczarskiej w Markowej.

Po ślubie z 12 lat młodszą Wiktoria i narodzinach kolejnych dzieci postanowił przenieść się z rodziną na wschodnie krańce województwa łwowskiego, gdzie parcelowano majątki ziemskie. W 1938 r. Ulmowie kupili 5 ha czarnoziemiu w Wojsławicach nieopodal Sokala. Do przeprowadzki nie doszło jednak ze względu na wybuch wojny. We wrześniu 1939 r. Józef brał udział w wojnie obronnej.

Wiktoria Ulma z domu Niemczak (10 grudnia 1912 – 24 marca 1944)

Urodziła się jako siódme dziecko Jana i Franciszki z Homów. Gdy miała sześć lat zmarła jej matka, na rok przed ślubem osierocił ją ojciec. Podobnie jak Józef była zaangażowana społecznie. Grała w teatrze wiejskim i uczęszczała na kursy organizowane przez Uniwersytet Ludowy w Gaci.

W 1935 r. poślubiła Józefa, a na świat zaczęły przychodzić szybko kolejne dzieci: Stanisława (ur. 18 lipca 1936 r.), Barbara (ur. 6 października 1937 r.), Władysław (ur. 5 grudnia 1938 r.), Franciszek (ur. 3 kwietnia 1940 r.), Antoni (ur. 6 czerwca 1941 r.) i Maria (ur. 16 września 1942 r.). W chwili śmierci była w zaawansowanej ciąży z siódmym dzieckiem.

Zbrodnia w Markowej

Przed wybuchem II wojny światowej mieszkało na Podkarpaciu co najmniej 120 tysięcy Żydów. W samej niemal 4,5 tysięcznej Markowej mieszkało ok. 120 osób wyznania mojżeszowego. Ich domy nie tworzyły zwartej skupiska, ale były rozrzucone po całej wsi. Mieli też trzy domy modlitwy, a na większe święta wyjeżdżali do synagogi w Łąncucie. Markowscy Żydzi zajmowali się głównie handlem, jedynie kilka osób uprawiało ziemię. Józef Ulma już przed wojną pozostawał w bardzo dobrych stosunkach z Żydami. Kilka rodzin żydowskich mieszkało z nim po sąsiedzku, z innymi handlował uprawianymi przez siebie warzywami.

Wojenny terror bardzo szybko zaczął zbierać swoje żniwo. 23 listopada 1939 r. wszedł w życie nakaz, by wszyscy Żydzi powyżej 10 roku życia nosili na ramionach opaski z gwiazdą Dawida. Wkrótce potem weszły kolejne obostrzenia: obowiązek pracy, zakaz korzystania ze środków transportu czy opuszczania bez zezwolenia miejsca zamieszkania. Żydów umieszczano w gettach lub kierowano do obozów pracy.

W 1941 r. Niemcy podjęli decyzję o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”, a los Żydów stał się dramatyczny. W obozach zagłady, wskutek rozstrzeliwań, z wycieńczenia zginęło niemal 6 mln europejskich Żydów.

Do końca 1942 r. funkcjonariusze Rzeszy Niemieckiej wymordowali prawie 1,3 mln Żydów z dystryktu warszawskiego, radomskiego, lubelskiego i krakowskiego, ponad pół miliona z dystryktu Galicja i ok. 130 tys. z Okręgu Białostockiego. Również w 1941 roku Niemcy, w odróżnieniu od sytuacji w okupowanych krajach na zachodzie Europy, wprowadzili na ziemiach polskich karę śmierci za jakąkolwiek pomoc Żydom. Z tego powodu zostało zamordowanych około tysiąca Polaków.

Trwająca od marca 1942 r. akcja „Reinhardt,” której celem było wymordowanie wszystkich Żydów w Generalnym Gubernatorstwie oraz Okręgu Białostockim, zaczęła być realizowana w Łąncucie i jego okolicach na przełomie lipca i sierpnia 1942 roku. Niemcy wprowadzili zakaz przebywania Żydów na terenie Markowej i rozpoczęli wywózkę do obozu pracy w Pełkiniach, a następnie do obozu zagłady w Bełżcu.

Niektórzy z markowskich Żydów poprosili wówczas Ulmów o pomoc. Początkowo Józef pomagał im budować ziemianki na obrzeżach wsi. Wiemy o czteroosobowej rodzinie, zwanej Ryfkami, której pomógł zbudować schron w jarze niedaleko potoku. Nie był to jednak skuteczny sposób na przeżycie – niemieccy żandarmi wraz z granatowymi policjantami przeprowadzali doraźne poszukiwania Żydów: zarówno we wsi, jak i w okolicy.

13 grudnia 1942 r. Niemcy nakazali zorganizowanie akcji poszukiwawczej sołtysowi Markowej. Sołtys przed południem poinformował mieszkańców wsi o planowanej akcji, czym umożliwił ukrywającym lepsze zabezpieczenie kryjówek. Co najmniej 26-ciu, w większości przymuszonych, mieszkańców odszukało 25-ciu z około 54 ukrywających się Żydów.

Pojmanych zamknięto w tzw. areszcie gminnym, znajdującym się przy głównym skrzyżowaniu we wsi. 14 grudnia 1942 r. wszyscy zostali rozstrzelani przez żandarmerię niemiecką z Łąncuta. Mimo tej akcji w Markowej po grudniu 1942 r. nadal ukrywano 29 Żydów, z których 21 doczekało końca okupacji.

Ośmioro zostało zamordowanych wraz z rodziną Ulmów 24 marca 1944 roku.

Żydzi byli ukrywani w Markowej przez kilka rodzin, ale największą grupę w swoim domu przyjęli Ulmowie. Stało się to najprawdopodobniej w grudniu 1942 roku. Byli to znajomi Ulmów z Łąncuta: Saul Goldman z synami Baruchem, Mechelem, Joachimem i Mojżeszem oraz z sąsiadki Ulmów z Markowej, a zarazem córki Chaima Goldmana – krewnego

wspomnianego wyżej Saula: Gołda Grünfeld i Lea Didner. Ta ostatnia ukrywała się wraz z małą córeczką o imieniu Reszla.

Saul Goldman miał ok. 70 lat i handlował bydłem. Mieszkał w Łąncucie, ale był znany w Markowej, do której często przyjeżdżał w interesach. Z kolei rodzice Lei i Gołdy to Chaim i Estera Goldmanowie, którzy jako nieliczni Żydzi byli i rolnikami, i handlarzami, prowadzącymi sklepik w Markowej.

Wiemy, że Józef Ulma wraz z Goldmanami zajmował się garbowaniem skór, które sprzedawał, by zarobić na życie. Umożliwiało to położenie domu Ulmów na uboczu wsi. Ukrywający się Żydzi zapewne łożyli na swoje utrzymanie; nic jednak nie wskazuje na to, aby Ulmowie pomagali im w zamian za gratyfikację finansową. Nawet pod koniec okupacji Gołda Grünfeld dysponowała jeszcze złotymi precjozami, które przy jej zwłokach znaleźli niemieccy żandarmi. Duże ilości jedzenia, które kupowała Wiktoria, zwracały jednak uwagę otoczenia i sugerowały, że w ich domu mieszkają nie tylko członkowie rodziny. Pozostaje zagadką, kto i kiedy doniósł Niemcom o ukrywających się Żydach. Prawdopodobnie był to Włodzimierz Leś – posterunkowy Polnische Polizei, czyli granatowy policjant z Łącuta. Według ustaleń podziemia był on wyjątkowo gorliwym współpracownikiem niemieckich okupantów. Dokumenty sugerują również, że nim Goldmanowie zwrócili się o pomoc do Ulmów to właśnie Leś za pieniądze pomagał im ukrywać się w Łąncucie, a później wypędził, zatrzymując jednocześnie ich majątek.

Nocą z 23 na 24 marca 1944 r. do Markowej przyjechało 5 żandarmów i od 4 do 6 granatowych policjantów. Grupą dowodził szef łąnuckiej żandarmerii, porucznik Eilert Dieken.

Podczas snu zastrzelono trójkę Żydów, wkrótce zastrzelono pozostałych. Przed dom wyprowadzono Józefa Ulmę oraz jego ciężarną żonę Wiktorię. Następnie po naradzie z podwładnymi Dieken rozkazał również rozstrzelać dzieci. W kilka chwil zamordowano 17 osób.

Po zakończeniu masakry Niemcy przystąpili do grabieży gospodarstwa i przedmiotów należących do zamordowanych. Mieszkańców wsi przymuszono do pogrzebania zabitych.

W styczniu 1945 roku ciała rodziny Ulmów zostały ekshumowane i przeniesione na miejscowy cmentarz parafialny. Dwa lata później podjęto szczątki zamordowanych Żydów i pochowano je na cmentarzu w Jagielle wraz z ofiarami masakry z 14 grudnia 1942 r.

Jedynym żandarmem osądzonym za zbrodnię z Markowej był Josef Kokott. W wyniku procesu, który toczył się przed Sądem Wojewódzkim w Rzeszowie w 1958 r., został skazany na karę śmierci, którą następnie zamieniono na dożywocie. Po zmianie przepisów kara zmniejszona do 25 lat pozbawienia wolności. Zmarł w bytomskim więzieniu w 1980 roku.

Policjant granatowy Włodzimierz Leś został natomiast osądzony i ukarany przez Polskie Państwo Podziemne. 11 września 1944 roku polskie podziemie wykonało na nim wyrok śmierci. Dowódca żandarmów, Eliert Dieken, został po wojnie policjantem w Esens w Dolnej Saksonii. Nie żył już, gdy w latach 60. XX w., prokuratura przy Sądzie Krajowym w Dortmundzie wszczęła śledztwo w sprawie zbrodni popełnionych przez żandarmerię niemiecką w okupowanym powiecie jarosławskim. Zmarł w 1960 r. jako szanowany obywatel. Zarówno jego, jak i pozostałych uczestników mordu, nigdy nie dosięgła sprawiedliwość.

W 1995 r. Józef i Wiktoria Ulmowie zostali uhonorowani medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. W 2010 roku prezydent Lech Kaczyński odznaczył ich pośmiertnie Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Ubogie małżeństwo z Markowej stało się patronem szkoły i ulic. Ich imię nosi też jedyne w Polsce Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej, otwarte w marcu 2016 roku w Markowej. 10 września 2023 roku we wsi Markowa na Podkarpaciu odbyła się beatyfikacja Józefa i Wiktorii Ulmów oraz ich siedmiorga dzieci.

Źródło: <https://ulmowie.pl/biografia/>

Dzieci Powstania Warszawskiego

- ✓ Dzieci z Powstania Warszawskiego <https://muzeum1939.pl/dzieciwojny-dzieci-z-powstania-warszawskiego/aktualnosci/5046.html> [dostęp: 12.09.2023]
- ✓ Zdjęcia Powstańców <https://www.1944.pl/fototeka/dzieci,89.html> [dostęp: 12.09.2023]
- ✓ Udział dzieci w Powstaniu Warszawskim <https://www.youtube.com/watch?v=CjRmOJ9zs2Y> [dostęp: 12.09.2023]
- ✓ 1 sierpnia 1944 r. (godz. „W” 17.00) w Warszawie rozpoczęło się Powstanie Warszawskie, które trwało 63 dni do 2 października 1944 r.
- ✓ była to największa bitwa stoczona podczas II wojny światowej przez organizację podziemną z wojskami okupacyjnymi,
- ✓ powstańcy, bez ciężkiego uzbrojenia, walczyli przeciwko regularnym formacjom niemieckim,
- ✓ Powstanie Warszawskie stanowiło element planu „Burza”, opracowanego przez Rząd Polski w Londynie i dowódców Armii Krajowej,
- ✓ dowódcą sił powstańczych mianowano komendanta Okręgu Warszawskiego AK – płk. Antoniego Chruściela ps. „Monter”.
- ✓ głównym celem powstańców było opanowanie miasta przed wkroczeniem do niego Armii Czerwonej i wystąpienie w roli gospodarza,
- ✓ powstanie rozpoczęto siłami liczącymi ok. 25 tys. powstańców, z czego tylko 10% było uzbrojonych,
- ✓ do powstania przyłączyły się również oddziały Armii Ludowej, Polskiej Armii Ludowej, Korpusu Bezpieczeństwa i Narodowych Sił Zbrojnych, siły powstańcze były stale uzupełniane przez ochotników,
- ✓ garnizon niemiecki w Warszawie liczył w chwili wybuchu powstania ok. 15 tys. żołnierzy, został on jednak wzmocniony jednostkami kierowanymi przeciwko Sowiecom, ponadto Niemcy zamierzali użyć do walk w Warszawie znane z okrucieństwa jednostki Waffen SS, w tym m.in. Brygadę Szturmową SS „RONA” i złożoną z kryminalistów – Brygadę Oskara Dirlewangera,
- ✓ siły niemieckie łącznie: ok. 50 tys. żołnierzy (formacje wojska, SS i policji, czołgi, artyleria i lotnictwo), dowództwo: gen. SS Erich von dem Bach-Żelewski,
- ✓ na początku walk oddziały powstańcze zdobyły wiele obiektów niemieckich w dzielnicach: Stare Miasto, Mokotów, Śródmieście, Żoliborz, ale w rękach niemieckich pozostały jednak najważniejsze obiekty (mosty, dworce, lotnisko, dzielnica niemiecka, koszary), co utrudniało utrzymanie łączności między poszczególnymi ugrupowaniami powstańczymi,
- ✓ 11 sierpnia Niemcy stłumili powstanie na Woli i Ochocie, w trakcie walk dochodziło do niespotykanej brutalności wobec ludności cywilnej; Niemcy wymordowali ok. 40 tys. mieszkańców Woli,

- ✓ wobec niedostatku uzbrojenia i amunicji walki powstańcze przybrały charakter defensywny, a Powstanie rozpadło się na kilka izolowanych od siebie ognisk walki: Stare Miasto, Śródmieście, Mokotów, Żoliborz,
- ✓ w Powstaniu Warszawskim powszechnie uczestniczyły dzieci, które pomagały przy budowie barykad, wspierały służby sanitarne i aprowizacyjne, były łącznikami walczących oddziałów, kolporterami powstańczej prasy, kurierami poczty; brały udział w dyżurach przeciwpożarowych i gaszeniu pożarów, były ordynansami powstańczych dowódców (czyli przenosiły rozkazy), czyści broń i nosiły amunicję; nie ustępowały odwagą dorosłym, butelkami z benzyną atakowały niemieckie czołgi, wielu młodocianych żołnierzy zginęło w walce lub było zastrzelonych przez niemieckich strzelców wyborowych tzw. „gołębiarzy”,
- ✓ 2 października 1944 r. w Ożarowie pod Warszawą podpisano akt kapitulacji, który zapewniał powstańcom prawa jeńskie,
- ✓ straty po stronie polskiej to 18 tys. zabitych i ok. 25 tys. rannych żołnierzy oraz ok. 120-200 tys. ofiar cywilnych, o niewoli dostało się ok. 15 tys. żołnierzy i oficerów wraz z naczelnym wodzem, generałem Tadeuszem Komorowskim „Borem”, około 50 tys. powstańców wywieziono do obozów koncentracyjnych, a 150 tys. na przymusowe roboty do Rzeszy,
- ✓ straty po stronie polskiej to ok. 10 tys. zabitych, 7 tys. zaginionych i 9 tys. rannych żołnierzy.

Na podstawie: <https://www.1944.pl/artukul/powstanie-warszawskie,4736.html>,
<https://www.wojsko-polskie.pl/powstanie-warszawskie/>

Dzieci w powstaniu warszawskim. Ich jedyną bronią był spryt ...

Trzeba było znać jak własną kieszeń każdy zaułek, wnękę, każdą piwnicę, przekop, barykadę. Trzeba było wiedzieć gdzie kryją się „gołębiarze” [niemieccy snajperzy], żeby donieść meldunek, rozkaz, paczkę. Dzieci radziły sobie z tym najlepiej. Wiele z nich swoją służbę w Powstaniu przypłaciło życiem.

Od wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. do jej zakończenia łączniczki i łącznicy wykonywali bardzo trudną i ryzykowną pracę. Przenosili dokumenty, meldunki, broń, paczki z ulotkami, prasą konspiracyjną, prawie zawsze mieli przy sobie coś trefnego, co w razie zatrzymania mogło być dla nich wyrokiem śmierci. Mimo to docierali do miejsc najbardziej niebezpiecznych. Dzięki nim możliwe było szybkie przekazywanie informacji, często o ogromnym znaczeniu. W dużej mierze dzięki nim funkcjonowało państwo podziemne. Najczęściej zaopatrzeni byli w mocne papiery, które czasem ratowały życie. W ubraniach pozwalających wtopić się w tłum, rowerami, riksami, tramwajami, kursowali po całym mieście.

W Powstaniu Warszawskim bardzo często łącznikami zostawały dzieci, kilkuletni chłopcy, którzy nigdy nie przeszli żadnych szkoleń. Mali, sprytni, zwinni, mogli przejść niezauważeni, dostać się w miejsca niedostępne dla dorosłych. Chcieli mieć swój udział w walce i wielokrotnie wykazywali się odwagą większą niż żołnierze. Wielu straciło życie i na zawsze zostaną anonimowi, bo znane były tylko ich pseudonimy. [...]

Jerzy Grzelak ps. Pilot był żołnierzem zgrupowania „Baszta”, jednym z najmłodszych łączników, w 1944 r. miał zaledwie dziewięć lat. [...] Ja też byłem żołnierzem AK,

w zgrupowaniu „Baszta”, żeby nim zostać, dodałem sobie pięć lat. Kilkanaście dni przed Powstaniem złożyłem przysięgę – wspominał.

Jego konspiracyjna działalność rozpoczęła się we własnym domu. U Grzelaków często odbywały się narady i spotkania konspiratorów. Ojciec bardzo mu ufał, miał też świadomość, że dzieci bywają bardzo spostrzegawcze, a budzą mniej podejrzeń, dlatego zlecał mu wykonywanie różnych drobnych, ale bardzo odpowiedzialnych zadań. Kiedyś nawet miał obserwować konfidenta, którego podejrzewano o donoszenie na sąsiadów.

1 sierpnia Zbyszek Wroński, ps. „Kret”, dowódca Jerzego, skierował go do sztabu przy ulicy Belgijskiej 5. Dostał opaskę i przepustkę. Został kurierem i łącznikiem do dyspozycji dowództwa. Przenosił listy, paczki, lekarstwa, amunicję. Miał wyznaczony rejon, po którym się poruszał. Obejmował on Park Dreszera, ulicę Odyńca z sąsiednimi uliczkami, szpital Elżbietanek. Najniebezpieczniej było na terenie Instytutu Higieny, zajętego prawie w całości przez Niemców. Jurek bez najmniejszych problemów docierał do najniebezpieczniejszych miejsc. Swoją spryt zaczął również wykorzystywać w czasie wypraw na okoliczne ogródki działkowe. Przynosił stamtąd same rarytasy: ziemniaki, pomidory, czasem jakąś gruszkę, a kiedyś nawet melona. Miał lornetkę i granat – tak na wszelki wypadek. Starsi koledzy udawali, że wierzą w jego czternaście lat, ale doskonale wiedzieli, że ma dużo mniej i dlatego nigdy nie dostał broni [...]

Janusz Wałkuski w czasie Powstania miał dziesięć lat. Był zaopatrzeniowcem. Nie nosił biało-czerwonej opaski, chociaż dostał ją i miał do niej prawo, ale mama w obawie o jego życie kategorycznie zabroniła mu zakładać. „Gołębiarze” szczególnie szukali tych z opaskami. [...]

Na podstawie:

Małgorzata Czerwińska-Buczek, *Dzieci w powstaniu warszawskim. Ich jedyną bronią był spryt*,
<https://kultura.gazetaprawna.pl/artykuly/1424469,powstanie-warszawskie-1944-dzieci.html>

Polskie dzieci deportowane do ZSRS w latach 1940-1941

- ✓ Deportacje do ZSRS <https://ipn.gov.pl/pl/historia-z-ipn/137719,Deportacje-Polakow-w-glab-Zwiazku-Sowieckiego.html> [dostęp: 12.09.2023]

- ✓ w lutym 1940 r. zaczęły się masowe deportacje Polaków w głąb ZSRS,
- ✓ w czterech deportacjach w latach 1940–1941 wywieziono według różnych szacunków od 320 tys. do nawet miliona Polaków, a wśród nich około 180 tys. dzieci i młodzieży,

Oddajmy głos dzieciom deportowanym i zapoznajmy się z ich relacjami.

Początek wojny...

„Rok 1939. 1 września, miałam 12 lat (...) Szkoła zamknięta, nie ma nauczycielki, wyjechała do Lwowa. Wracamy do domu. Rodzice tłumaczą nam, że wojna i nie wiadomo, co będzie. Mobilizacja mężczyzn. Jeszcze dobrze nie pojmowałam, co to wszystko znaczy. Już jakiś niepokój wkradał się do młodego jeszcze serduszka. Widzę smutek w oczach rodziców i nam to się udziela. Ładny był wtedy wrzesień. Mama podała obiad w altanie, bo do mieszkania muchy się wdzierały i było gorąco. Rodzina była liczna, pięcioro dzieci, siostra najstarsza 19 lat, najmłodszy brat 5 latek, dziadek 96 lat, rodzice w wieku 39 lat.

AsUŁ, sygn. R-13a, C. Markowska, Wspomnienia Sybiraczki, s. 1.

Ta straszna noc...

Co kilka dni zabierali mojego tatę na policję, straszili go, rewidowali i domagali się różnych deklaracji. W pierwszych dniach 1940 roku aresztowali go. Przeszukali nasz dom, zniszczyli wszystkie dokumenty i zdjęcia taty, tak żeby nie pozostał po nim żaden ślad. Kilka miesięcy później wywieźli także nas: to znaczy mamę, mojego brata i mnie. Na spakowanie rzeczy dali nam pół godziny. [...]

„W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali...”. Polska a Rosja 1939–42, wybór i oprac. J.T. Gross, I. Grudzińska-Gross, Warszawa 1990, s. 239–240.

W nocy z 13 na 14 IV [1940 r.], o godzinie 2-giej przyszedli do nas. Kazali wszystko pakować, a na pytanie matki, gdzie mamy, jechać odpowiedzieli, że 100–150 km od Lwowa. [...] Załadowali nas na samochód i zawieziono na dworzec.

„W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali...”. Polska a Rosja 1939–42, wybór i oprac. J.T. Gross, I. Grudzińska-Gross, Warszawa 1990, s. 101–102.

W nocy o czwartej lub piątej nad ranem stukają do drzwi – trzech enkawudzystów z karabinami – i mówią „Odkrywajcie”. Przed domem stanął samochód ciężarowy. Mówią do mamy, że jest aresztowana. Posadzili ją za stołem, zaczęli pytać i coś pisać. Reszta żołnierzy robiła przeszukanie, pytali: „Gdzie wasze orużje?” (Gdzie macie broń?) mama mówi: „Owszem, mieliśmy dwie dubeltówki, bo mąż polował, ale oddaliśmy od razu jak wybuchła wojna”. Pokazała zaświadczenie, pokwitowanie, ale nic to dla nich nie znaczyło. Jeden z mamą siedział przy stole, reszta dalej szukała. Wszystko przewrócili, wyrzucili wszystkie rzeczy z szuflady i z szafy. Przestraszyliśmy się, bo nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Po godzinie mówią do mnie i do brata, a przecież byliśmy jeszcze dziećmi – ja miałam szesnaście lat, a brat dwa lata mniej – „Zbierajcie się, wyjeżdżacie!” Mamie nie pozwalali ruszać się z miejsca. Nie wiedzieliśmy,

co robić, co pakować, gdzie są jakie rzeczy, bo wszystko było przewrócone. Jakoś daliśmy radę. Co potrafililiśmy, to zabraliśmy, trochę pościeli i ubrań udało nam się spakować. [...]

Z. Goworska, Z majątku Nowodwory na Altaj [w:] Sztuka przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego 1940–1941. Relacje zesłańców, Warszawa 2019, s. 266–270.

W nocy przyjechało kilkunastu enkawudzistów. Otoczyli dom i mówią „Sobirajties!” Pod pozorem poszukiwania broni zrobili rewizję, obstukiwali meble i zaglądali do szafy. Pamiętam pewien komiczny moment w tym dramacie – na szafie w jednym pokoju stały ozdoby choinkowe; był okres poświąteczny, nie mieliśmy już gdzie ich schować, więc mama poukładała je na szafie. Jeden z enkawudzistów zapytał: „Co to?”, mama odpowiada „Bombki”. Na te słowa on szybko odskoczył. Musiał początkowo zrozumieć, że to bomby, a nie bombki. Obejrzelili cały dom, a przy okazji na pewno coś udało się im zwinąć i schować do kieszeni. Po zakończeniu rewizji zaczęliśmy się pakować, zapytaliśmy się, ile możemy zabrać. „Tyle, ile możecie unieść” – odpowiedzieli. To był bardzo ciężki moment i trudno było o myślenie. Później się okazało, że zawędrowały z nami na Syberię rzeczy zbędne, a wielu potrzebnych nie wzięliśmy. Między innymi zabraliśmy paszporty koni, które były w szkatułce, oraz część zdjęć. Ale dokumenty na szczęście też zabraliśmy. Dowody osobiste i świadectwa bardzo się potem przydały przy odzyskiwaniu obywatelstwa i przy powrocie. Spakowaliśmy najcenniejsze rzeczy i ciepłe ubrania. Wziąłem też mundurek gimnazjalny i buty sznurowane, które nie nadawały się na syberyjskie temperatury. [...]

K.W. Russel, Z lasów podlaskich do lasów altajskich [w:] Sztuka przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego 1940–1941. Relacje zesłańców, Warszawa 2019, s. 58.

Transport

Przywieźli nas do Bielska, na rampie kolejowej była już masa ludzi, płacz, krzyki, małe dzieci... Siedzieliśmy tam do wieczora, aż podstawili wagony, w których były prycze i kazali się ładować. [...] Z mamą i bratem leżeliśmy na jednej prycze. Było tak mało miejsca, że wszyscy musieli się równocześnie obracać. [...] Nam przynajmniej wiadro wodnistej zupy dawali. Co dwa, trzy dni z pociągu wypuszczali kilku już niedołączonych mężczyzn z wiadrami i do jednego dawali zupę, pochłopkę, a do drugiego wodę. Woda była tylko do picia. O myciu nie było mowy. I jeszcze jeden mężczyzna przynosił dwa lub trzy bochenki chleba. Na dwa dni dla ponad trzydziestu osób to było mało. Niektórzy mieli trochę zapasów, ale i tego nie wystarczyło na trzy tygodnie podróży. Gdy pociąg zatrzymywał się, aby nabrać wody do lokomotywy, od razu przed każdym wagonem stawał enkawudzista z karabinem, abyśmy się nie wychylali.

Z. Goworska, Z majątku Nowodwory na Altaj [w:] Sztuka przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego 1940–1941. Relacje zesłańców, Warszawa 2019, s. 266–270.

Zastaliśmy tam już cały pociąg załadowany ludźmi. Były to przeważnie rodziny aresztowanych doktorów, inżynierów i adwokatów. Wszystko inteligencja. Do wagonu wsadzono nas 32. Było straszliwie ciasno. Brudne bydlęce wagony, smród straszliwy, bo nikogo nie wypuszczano na stronę, brak wody. We Lwowie staliśmy jeszcze dwa dni. [...] Cała podróż trwała 17 dni. Były dni, że nie było kompletnie wody, ludzie, a zwłaszcza dzieci, mdlały z pragnienia. Kiedyśmy wyszli z wagonu, trudno było chodzić z powodu zastania kości.

„W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali...”. Polska a Rosja 1939–42, wybór i oprac. J.T. Gross, I. Grudzińska-Gross, Warszawa 1990, s.101–102.

Zawieźli nas na stację kolejową Nurzec, gdzie już stały bydlęce wagony, i kazali wchodzić. W środku po obu stronach znajdowały się prycze, na środku piecyk do ogrzewania, obok

sanitariat w formie dziury w podłodze. Czekaliśmy w tym wagonie w Nurcu jeszcze wiele godzin. Oczywiście już nie można było nigdzie wyjść. Zima tego roku była surowa, mrozy dochodziły nawet do minus 30 stopni. Potem po drodze dostawaliśmy węgiel. Wagon był nieszczęsny, a mróz na zewnątrz wysoki. Przy samym piecyku było gorąco, natomiast w kątach szron nie schodził.

K.W. Russel, Z lasów podlaskich do lasów altajskich [w:] Sztuka przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego 1940–1941. Relacje zesłańców, Warszawa 2019, s. 58–59.

Podwieszono nas do pociągu stojącego na bocznicach, były to towarowe wagony z okratowanymi małymi okienkami, końca pociągu nie mogłam dostrzec, podobno było 60 wagonów. Odryglowano ciężkie drzwi i kazano nam wejść z rzeczami do środka. Byłam przerażona, wbiegłam z parasolką do wagonu, a Mama z Irką przeciągnęły nasz bagaż. Zaryglowano za nami drzwi zamykając na kłódkę. Rozejrzałam się dookoła – wagon miał z desek zrobione prycze, tzn. w środku było dwa metry przestrzeni wypełnionej ludźmi, a po bokach deski tworzyły rodzaj półek, na których musieliśmy ułożyć się pokotem, upychając nasze rzeczy jak najściślej. Po drugiej stronie wagonu, pod drzwiami zabitymi deskami, zrobiono koryto wychodzące na zewnątrz przez prostokątny otwór 10x15 cm. To była nasza ubikacja, a obok stały dwa wiadra wody do picia. Okazało się, że jest nas 55 osób w naszym wagonie, a ja byłam najmłodsza. Zrobiono nam miejsce i przysiadaliśmy na rzeczach ułożonych na dolnej półce przy drzwiach. Okna były zamknięte klapami drewnianymi otwieranymi z zewnątrz. Byliśmy tak przerażeni krzykami dochodzącymi z peronu, gdzie ciągle nowych doładowywano wysiedleńców, że nikt nie rozbierał się, ani nawet nie jadł. Nie odczuwaliśmy nawet chłodu, chociaż wagony nie miały żadnego ogrzewania, a okna oprócz krat i drewnianej okiennicy nie miały nawet szyb.

AsUŁ, sygn. R-24, K.Kraszewska-Pietras, Wspomnienia z zesłania na Syberię, s. 5–6.

O samej podróży właściwie trudno coś więcej powiedzieć. Był już głód i niewola. Najgorsze, że nie wiedzieliśmy, co będzie dalej. Gdyby nam powiedzieli: „Jedziecie tam i tam. Macie wyrok na dziesięć lat”, byłoby łatwiej. Tymczasem nikt nie wiedział, dokąd nas wiozq, na jak długo i w ogóle, co z nami będzie. Podróż trwała prawie miesiąc. [...] gdy przyjechaliśmy, temperatura sięgała minus 40 stopni, leżało półtora metra śniegu. Był to nasz pierwszy kontakt z syberyjską zimą.

K.W. Russel, Z lasów podlaskich do lasów altajskich [w:] Sztuka przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego 1940–1941. Relacje zesłańców, Warszawa 2019, s. 58.

Dziecięce życie daleko od domu ...

Po trzech tygodniach podróży dotarliśmy do Bijska. Nas zawieźli do sowchozu katuńskiego, położonego w górach Altaj i nad rzeką Katuń. Pracowaliśmy tam przy żniwach i sianokosach. Bardzo ciężko pracowaliśmy. Latem panował straszny upał. Mama potem nie mogła pracować, bo skaleczyła nogę i przebiła tętnicę. [...] Mieszkaliśmy w malutkim domku. Zajmowaliśmy mały pokój, który podzieliliśmy na część do spania i kuchnię do gotowania. Drugi pokój był duży, lecz zajmowała go ośmioosobowa rodzina [...] Nasze łóżko stanowiły cztery pieńki, na których leżały deski. To jeszcze wyglądało całkiem dobrze. Najgorsze były pluskwy. Jak tylko kładliśmy się spać, wylazły na ścianę. Mama zapalała świecę, chodziła po pokoju i podpalała pluskwy. Okropnie śmierdziało. Po pracy byłam tak strasznie zmęczona, że mimo to zasypiałam. Wszędzie miałam ślady po ukąszeniach.

Z. Goworska, Z majątku Nowodwory na Altaj [w:] Sztuka przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego 1940–1941. Relacje zesłańców, Warszawa 2019, s. 266–270.

Przewieziono nas na cegielnię, położoną o 12 km od Semipalatyńska. Tam zaczęła się prawdziwa męka. Kazano nam wykonywać najgorsze prace. A było to: czyszczenie pieców z popiołu, wywożenie na taczkach wypalonych, gorących jeszcze cegieł z pieców, oczyszczanie terenu cegielni z odłamków cegieł. Zapłata była niska 1–3 ruble dziennie. Życ z tego było niemożliwe, trzeba było coś sprzedać, aby wyżyć. [...] Nastąpiła zima [19]40–41 r. Zima straszliwa. Mrozy dochodzące do –60 stopni, mimo których wypędzano nas do roboty do lasów. Przy tej pracy większość miała podmrażane ręce i nogi. Na wiosnę 1941 r. zachorowałem na malarię, pomocy lekarskiej nie było.

„W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali...”. Polska a Rosja 1939–42, wybór i oprac. J.T. Gross, I. Grudzińska-Gross, Warszawa 1990, s.101–102.

Wyładowali nas na stacji „Aczyńsk”. Stamtąd szliśmy 60 kilometrów do kolchozu, gdzie nas przypisali. [...] Codziennie chodziłam do lasu narębać drzewa. Pracowałam, stojąc po kolana w gnoju. Dostawałam za to 300 gramów chleba na dzień i to musiało mi wystarczyć. Były dni, że nie dostawałam niczego, ani moja mam, ani brat, i wtedy mdleliśmy z głodu. Nie było żadnej opieki lekarskiej. Chorowaliśmy na tyfus, wycieńczenie, malarię, zapalenie płuc itd. Mieszkaliśmy w lepiankach.

„W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali...”. Polska a Rosja 1939–42, wybór i oprac. J.T. Gross, I. Grudzińska-Gross, Warszawa 1990, s. 239–240.

Widziałem, jak ludzie padają z wyczerpania. [...] Natychmiast przydziela się nową osobę – norma musi być wykonana. [...] Wychudłem, skóra spalona słońcem stała się brązowa. Każdego wieczoru warstwa soli pokrywała całe ciało, jednak o kąpielach nie mogło być mowy – wody ledwie starczało do picia i obmycia twarzy. Po małym posiłku składającym się z kawałka chleba, śledzia i kubka gorącej wody, padałem i zasypiałem kamiennym snem. Nie zdążyłem przewrócić się na drugi bok, a już trzeba było wstawać, iść po dzienny przydział żywności i po skromnym śniadaniu przystępować na dwanaście godzin do ciężkiej pracy. I tak dzień za dniem. Pod koniec czwartego tygodnia postanowiłem uciec. Było mi obojętne, czy mnie złapią...

Zbigniew Pieńkowski [w:] Przerwane biografie. Relacje deportowanych z Polski w głąb Sowietów 1940–41, Warszawa 2020, s. 230–231, 236–237.

Stan zdrowia mamy nie pozwolił jej na powrót do pracy – miała skaleczoną w sowchozie nogę i przebitą tętnicę, z trudem mogła chodzić. [...] Ja wykonywałam różne prace fizyczne. Najpierw mnie pozałowali i zatrudnili w kuchni w szpitalu wojskowym. Z dwiema koleżankami z Polski obierałyśmy w piwnicy warzywa. Dostawałyśmy za to talerz zupy. Szpital był ogromny. Praca trwała od rana do wieczora. Wychodziłam z domu o godzinie ósmej, wracałam o dwudziestej drugiej. Niedzieli nie było. Czasami jakaś litościwa kucharka przyniosła nam do piwnicy kawałek placka albo śledzia. Chowałam to do walonka, aby zanieść mamie. Nielatwo było przejść przez bramę, bo kontrolowali, ale zawsze się udawało. Mama, jako niepracująca, otrzymywała tylko 300 gramów chleba, a ja wówczas 400 gramów.

Zoja Goworska, Z majątku Nowodwory na Altaj [w:] Sztuka przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego 1940–1941. Relacje zesłańców, Warszawa 2019, s.272–273.

W połowie lipca 1940 zapoczątkowałam swoje zarobkowanie. Jako piętnastoletnia mogłam jeszcze nie pracować, lecz tam dewizę: „Kto nie pracuje, ten nie je” – brało się dosłownie. [...] Białe noce przeminęły, dzień stawał się coraz krótszy, wszystkie znaki na niebie i ziemi przepowiadały zbliżanie się okrutnej, dziewięciomiesięcznej zimy. Musiałam przystać na pracę przy wyrębie drzew. [...] Moja praca w tajdze początkowo polegała na wyszukiwaniu i ścinaniu drzew o specjalnym przeznaczeniu. Towarzyszyłam, jako pomocnica, doświadczonemu miejscowemu drwalowi. Z trudem brnąc w śniegu, sięgającym po pas i wyżej, docieraliśmy do upatrzonej brzozy. Odgarnialiśmy śnieg do nasady pnia. Podrąbywaliśmy go z tej strony, na którą miał lec. Stojąc w rozkroku z głowami przy ziemi, dwuosobową piłą ścinaliśmy drzewo. [...] W zależności od zaleceń zwierzchników to tworzone z nas brygadę rodzinną, to rozczłonkowrywano po innych zespołach. Dopóki nie ukończyłam 16 lat, miałam przywilej pracowania tylko osiem godzin. Skazywało to mnie na samotne powroty przez bezkresny las.

Wiesława Rejson [w:] Przerwane biografie.

Relacje deportowanych z Polski w głąb Sowietów 1940–41, Warszawa 2020, s. 216.

Mieszkańcy sowchozu otrzymywali przydziały chleba według następujących kryteriów: raboczij [pracujący] pięćset gramów chleba dziennie, a izżywieniec – czyli ten, kto pozostawał na utrzymaniu, a zatem dzieci, starcy – dwieście gramów chleba dziennie. Te przydziały często nie były realizowane, szczególnie po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Teoretycznie codziennie można było ustawić się w kolejce i chleb odebrać, ale praktycznie go brakowało dzień, dwa, czasem nawet dłużej. Chleb często smakował jak piołun, ponieważ podprawiano go prosem, które potrafi być gorzkie, zwłaszcza jeśli jest podpleśniałe. Wkrótce zaczął się głód. Obok nas mieszkała rodzina Oszczakiewiczów. Ich dwaj synowie, młodsi od nas, mieli nóżki jak patyczki, brzuchy wzdęte. Nosili ze sobą szczoteczki do zębów i pojemniki z naftą. Szczoteczki maczali w naftcie i cmoktali je sobie, żeby mieć w ustach coś pożywnego. [...] Choć wiele osób zmarło z niedożywienia, nam dzięki zaradności mamy i babci Luci głód nie doskwierał. Jako jedyna osoba zatrudniona w punkcie medycznym w Żołombeku mama była faktycznie jego kierowniczką. Otrzymywała taki sam przydział chleba jak inni raboczi, ale zdarzały się „przydziały nadzwyczajne”. Wiadomo, ktokolwiek zachoruje w takich ciężkich warunkach, to odda medycze ostatnie jajko, żeby go tylko ratowała. Bycie miedsiestroj [pielęgniarką] na owym zesłaniu to było jak wygranie losu na loterii. Brakowało natomiast warzyw i ziemniaków, ponieważ w tamtej strefie lato było zbyt krótkie, zbyt suche dla wegetacji. W rezultacie zęby nam w buziach chodziły, krwawiły. Wszyscy chorowaliśmy na szkorbut. Z powodu awitaminozy byliśmy też pokryci bolesnymi wrzodami, głównie na szyi, karku i podudziu. To bardzo doskwierało. Nie było sposobu leczenia owych wrzodów, bo jedynym dostępnym medykamentem była maść ichtiolowa.

Bohdan Kurowski, Wspomnienia z dzieciństwa (cz. 4). Życie na zesłaniu w Kazachstanie, „Debata” 2018, nr 6 (129), s. 24–25.

Przez pomyłkę wzięliśmy ze sobą album ze zdjęciami, na jednym z nich był stół wielkanocny u babci w Bielsku, zastawiony smakołykami. To sprawiało, że jeszcze bardziej tęskniłem za domem i tak marzyłem: niech mi się to przyśni, niech najem się do syta przynajmniej we śnie. Oczywiście wciąż głodny organizm się wycieńcza; niektórzy umierali z głodu. [...] Moim głównym zadaniem było wyżywienie rodziny. To, co zarabiali matka czy brat, nie wystarczało [...]. Pracować formalnie nie musiałem, bo byłem za mały, ale robiłem, co mogłem, aby jakoś walczyć z głodem. Sposoby były różne. Chodziłem na kłosa. Po zbiorze na polach pozostają na następny rok wykruszone ziarna, które wschodzą. Gdy w 1941 roku wybuchła wojna

z Niemcami, zabrakło ludzi i pola kolchozowe były bardzo zaniedbane – nie siano i nie zbierano. Rosły te kłosy na dziko, co kilkadziesiąt metrów jeden. Zbieraliśmy je do woreczka, potem młóciliśmy na żarnach, które sami zrobiliśmy, na wietrze trzeba było je oczyścić z plew, a potem zmielić. Najgrubsze szły na kaszę, najdrobniejsze na zacierki i placki. Kolejnym sposobem na walkę z głodem była sprytna kradzież zboża. Mówiono „Nie ukradniesz, nie prożywiesz” [Nie ukradniesz, to nie przeżyjesz]. Stąd kradzież nie była traktowana przez innych ludzi jako działanie naganne, ale wręcz zajęcie chlubne, uprawiane przez miejscowych i Polaków.

Lech Narbutt [w:] Sztuka przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego 1940–1941.
Relacje zesłańców, s. 137–138.

Dzieci Żołnierzy Wyklętych prześladowane w powojennej Polsce

- ✓ Spotkanie łódzkiej młodzieży z najmłodszym więźniem politycznym w Polsce Ludowej <https://www.youtube.com/watch?v=Q3M99rnhemY&t=14s> [dostęp: 12.09.2023]
- ✓ Żołnierze Wyklęci <https://podziemiezbrojne.ipn.gov.pl/> [dostęp: 12.09.2023]
- ✓ Rajski K., *Wilczęta. Rozmowy z dziećmi Żołnierzy Wyklętych*, Warszawa 2014.

- ✓ Żołnierze Wyklęci (Żołnierze Niezłomni) byli żołnierzami polskiego powojennego podziemia niepodległościowego i antykomunistycznego; przeciwstawiali się podporządkowaniu Polski Związkowi Sowieckiemu oraz sowietyzacji życia politycznego i społecznego po II wojnie światowej,
- ✓ uczestników ruchu partyzanckiego określa się też jako „żołnierzy drugiej konspiracji”,
- ✓ termin „Żołnierze Wyklęci” powstał w latach 90. XX w.
- ✓ Żołnierze Wyklęci byli nazywani w propagandzie Polski Ludowej ściśle kontrolowanej przez ZSRS „bandami reakcyjnego podziemia” i „wrogami ludu”,
- ✓ walka Żołnierzy Wyklętych była rodzajem samoobrony społeczeństwa polskiego przeciwko sowieckiej agresji i narzuconym siłą władzom komunistycznym,
- ✓ liczbę członków wszystkich organizacji i grup konspiracyjnych podziemia antykomunistycznego szacuje się na 120-180 tysięcy;
- ✓ działania zbrojne Żołnierzy Wyklętych było wymierzone w oddziały zbrojne Urzędu Bezpieczeństwa (UB), czy Milicji Obywatelskiej (MO),
- ✓ podziemie niepodległościowe aktywnie działało też na Kresach Wschodnich, szczególnie na ziemi grodzieńskiej, nowogrodzkiej i wileńskiej,
- ✓ Żołnierzy Wyklętych dotknęły prześladowania, a polski aparat represji wobec podziemia antykomunistycznego był oparty na wzorcach sowieckich,
- ✓ w latach 1944-1945 podstawową siłą zwalczania podziemia niepodległościowego w Polsce stanowiły jednostki Armii Czerwonej (ok. 10 mln żołnierzy sowieckich), które przebywały na terenie ówczesnej Polski, z czasem rolę tę przejął polski aparat represji, wspomagany przez NKWD i sowieckich doradców, którzy do 1956 r. stanowili element decyzyjny w Polsce,
- ✓ metodą walki z podziemiem antykomunistycznym były amnestie, czyli próby wyciągnięcia z podziemia walczących konspiratorów; ci, którzy uwierzyli w „amnestię” byli po pewnym czasie aresztowani i skazywani na wieloletnie więzienie lub karę śmierci,
- ✓ symboliczną datą zakończenia walk Żołnierzy Wyklętych była śmierć ostatniego członka ruchu oporu Józefa Franczaka ps. „Lalek”, który zginął w obławie w Majdanie Kozic Górnych pod Piaskami (woj. lubelskie) osiemnaście lat po wojnie – 21 X 1963 r.,
- ✓ w walce zginęło około 9 tys. Żołnierzy Wyklętych, kilka tysięcy zostało zamordowanych na podstawie wyroków komunistycznych sądów lub zmarło w więzieniach,
- ✓ represje komunistyczne dotyczyły nie tylko żołnierzy, ale także ludzi im bliskich (żony, dzieci, całe rodziny również były przez wiele lat represjonowane),
- ✓ dziecko Żołnierza Wyklętego określane było nazywane w PRL „dzieckiem bandyty”; miało zapisane w aktach personalnych, kim był jego ojciec, jego matka, nie mogło kształcić się i studiować, awansować w pracy, żyło na marginesie społecznym/
- ✓ prześladowanie Żołnierzy Wyklętych i ich rodzin trwało do 1989 r.,

Dzieci Żołnierzy Wyklętych – wspomnienia.

- ✓ Żyli w cieniu narodowej i rodzinnej tragedii. Byli „źle urodzeni”, a piętno „nieprawomyślnego pochodzenia” prześladowało ich przez wszystkie lata PRL. Dzieci Żołnierzy Wyklętych. *"Mama mogła odwiedzić ojca w więzieniu tylko raz. Był strasznie bity, przez ten rok w areszcie osiwił jak gołąbek"* - opowiada syn Bolesława Budelewskiego. *"Potem dostaliśmy informację o wykonaniu kary śmierci, ale nie mieliśmy pojęcia, gdzie został pochowany"* – dodaje.
- ✓ Ojców - najczęściej - ledwo pamiętają. Gdy ci walczyli w antyniemieckim, a potem antykomunistycznym podziemiu, dopiero się rodzili, a nawet jeśli mieli wówczas kilka czy kilkanaście lat, ojcowie byli dla nich najczęściej odległymi, zakonspirowanymi bohaterami. Po latach mówią: *Ja taty nigdy nie poznałem - gdy zginął, miałem zaledwie osiem miesięcy albo miałem tylko cztery lata, mimo to doskonale pamiętam moment, gdy ojca zabierali z domu.*
- ✓ Ojca z czasów przedwojennych lepiej zapamiętał syn rotmistrza Pileckiego. Mieszkali na wschodnich kresach II Rzeczypospolitej. *Żyliśmy bardzo szczęśliwie - mieszkaliśmy w takim miejscu, gdzie nie było specjalnie kolegów. Byliśmy skazani na siebie i tata bardzo dobrze się z tego wywiązywał. Zawsze nam robił jakieś niespodzianki. W ogóle wychowywał nas bardzo mądrze. Mnie przygotowywał do takich prac jak powożenie koniem. Uczył kochać przyrodę* - opowiada.
- ✓ Historia nie dała im okazji, by wspólnie doczekali spokojniejszych, powojennych czasów. Ojcowie walczyli, ukrywali się, z rzadka wpadali do domu, a potem trafili do więzienia. *Mama mogła go odwiedzić tylko raz. Był strasznie bity, przez ten rok w areszcie osiwił jak gołąbek* - opowiada syn Bolesława Budelewskiego. *Potem dostaliśmy informację o wykonaniu kary śmierci, ale nie mieliśmy pojęcia, gdzie został pochowany* - dodaje.
- ✓ O tej niepewności czy wręcz niewiedzy dotyczącej i daty śmierci, i miejsca pochówku ojców opowiadają wszystkie dzieci Żołnierzy Wyklętych. Suche powiadomienia o zgonie były często jedyną informacją, jaką mieli na temat losu rodziców.
- ✓ Zdarzało się też, że represje dotykały i innych najbliższych. *W sumie z mojej rodziny siedziało [w więzieniu] 16 osób, w tym mama, skazana na 15 lat więzienia. Mnie wychowywali dziadkowe* - mówi syn Zbigniewa Bukowskiego.
- ✓ Piętno „złego urodzenia” ciążyło im długo. *Matki nie mogły znaleźć pracy. Gdy tylko personalny dowiadywał się, czyją była żoną, natychmiast okazywało się, że nie ma dla niej miejsca* - wspomina jeden z potomków żołnierzy. Oni sami znosili przykrości w szkole czy w wojsku. *Ciągle słyszałem - ten to z Ostrołęki, tam było dużo bandytów* - dodaje.
- ✓ Mimo to wierzyli, że historia przywróci dobrą pamięć o ich ojcach i że - jak mówi syn rotmistrza Pileckiego - *tata wyjdzie z cienia i będzie o nim głośno.*

Na podstawie wywiadu radiowego (https://www.rmfm24.pl/fakty/polska/news-wspomnienia-dzieci-zolnierzy-wykletych-byl-strasznie-bity-po,nId,938065#crp_state=1)

Ważne! Przygotowując się do zagadnienia *Dzieci Żołnierzy Wyklętych prześladowane w powojennej Polsce*, zwróć szczególną uwagę pozycję książkową autorstwa Kajetana Rajskiego pt. *Wilczęta. Rozmowy z dziećmi Żołnierzy Wyklętych* (tom 1).